

Pisał: **Artur Piekacz**

Opiekun: Magdalena Kubicka

HISTORIE Z KATYNIA

Wiosną 1940 roku w Katyniu miała miejsce okrutna zbrodnia. Było to ludobójstwo popełnione przez radzieckie NKWD – Ludowy Komisariat Spraw Wewnętrznych ZSRR na polskich oficerach Wojska Polskiego, funkcjonariuszach policji, nauczycielach, lekarzach i wszystkich, których Sowieci uznawali za niebezpiecznych dla swojego ustroju w podbitej Polsce. Łącznie życie straciło 21 768 ludzi. W tym eseju opowiem historie dwóch świadków tego potwornego wydarzenia.

W dniu 1 września 1939 roku III Rzesza Niemiecka zaatakowała Polskę. Polscy żołnierze dzielnie bronili swej Ojczyzny licząc, że nadejdzie pomoc od Wielkiej Brytanii i Francji. Pomoc ta nigdy nie nadeszła. Zamiast tego, w wyniku zawartego w dniu 23 sierpnia 1939 roku paktu Ribbentrop – Mołotow, paktu o nieagresji pomiędzy Niemcami a ZSRR (nazywanym również czwartym rozbiorem Polski), w dniu 17 września 1939 roku, Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich napadł od wschodu na Polskę. Po kolejnym miesiącu krwawych walk o wolność, Polska została podzielona pomiędzy dwa mocarstwa. Wkrótce do niewoli radzieckiej dostało się ćwierć miliona polskich żołnierzy. Połowie udało się zbiec lub zostali zwolnieni, ale pozostałych przejęło NKWD i dokonano selekcji. Ponad 80 tysięcy szeregowych wypuszczono lub przekazano Niemcom, a ponad 20 tysięcy wysłano do obozów pracy. Ostatnie kilkanaście tysięcy osób, które zostały uznane za najbardziej niebezpieczne, przekazano do obozów specjalnych. W Starobielsku koło Charkowa oraz Kozielsku koło Smoleńska umieszczono przede wszystkim oficerów, a w Ostaszkowie koło Kalinina więziono głównie policjantów i funkcjonariuszy innych służb mundurowych. Wiosną 1940 roku więźniów zamordowano strzałem w tył głowy.

Z historią tego mordu splecione są losy Stefana Bartysiaka, który czekał pół wieku, do roku 1992, aby przekazać swoją opowieść prokuraturze w Lublinie. Zaczyna się ona w lecie

1938 roku, kiedy Stefan Bartysiak wstąpił do wojska, do Siódmego Pułku Piechoty Legionów na Lubelszczyźnie. Zanim wybuchła wojna ukończył szkołę podoficerską i został awansowany do stopnia kaprała. W sierpniu 1939 roku jego pułk został przydzielony na granicę polsko-sowiecką. W dniu 17 września 1939 roku, gdy Sowieci przypuścili atak, pułk Stefana Bartysiaka dzielnie przez kilka godzin stawiał opór, ale musiał się wycofać w stronę Bugu. W czasie odwrotu stoczył jedną z największych bitew z Sowietami w Kampanii Wrześniowej, jednakże w jej wyniku Stefan Bartysiak został wzięty do niewoli. Rosjanie załadowali jeńców do pociągów i wywieźli w głąb Związku Sowieckiego do nieznannej miejscowości. Jeńców osadzono w starych magazynach. Panował w nich wielki tłok i duchota, nie było toalety, a więźniowie nie mieli co jeść i pić. Po kilku dniach jeńcy zaczęli masowo umierać. Z pozostałych przy życiu polskich jeńców uformowano kolumny i zapędzono do Kozielska, gdzie umieszczono ich w opuszczonych koszarach. Warunki nie były lepsze niż w poprzedniej lokacji, lecz tu NKWD zaczęło przesłuchiwanie jeńców. Podczas jednego z tych przesłuchań Stefan Bartysiak opowiedział NKWD-istom historię swojego ojca, który służył w carskiej armii, walczył w wojnie rosyjsko-japońskiej, dostał się następnie do japońskiej niewoli, z której zbiegł do Stanów Zjednoczonych. Po tym przesłuchaniu zmieniona została kategoria zaszeregowania Stefana Bartysiaka. Po jednym z apeli dowiedział się, że został skierowany do grupy jeńców, która miała wyruszyć do obozu w Katyniu. Kilkunastogodzinną podróż odbył pociągiem.

Warunki życia w obozie w Kozielsku prawie nie istniały. Więźniowie mieszkali w dołach w ziemi i przykrywali się gałęziami. Karmieni byli prawie wyłącznie zamrożoną kapustą. Po kilku dniach NKWD zaczęło kolejne przesłuchiwanie, tym razem znacznie bardziej dokładne i brutalne. Na przesłuchaniach popularną metodą tortur było rozbieranie więźnia do naga, wieszanie go na haku wysoko na ścianie i obijanie gumowymi pałkami, co często skutkowało śmiercią jeńca. Po następnych kilku dniach obóz był zasłany zwłokami, a NKWD rozpoczęło akcję rozstrzeliwania. Więźniom zamykano ręce, ustawiano nad głębokim dołem i strzelano w tył głowy. Potem przyjeżdżały spychacze i przysypywały ziemią wielkie masowe groby. Stefan Bartysiak zauważył, że Rosjanie do butów przytwierdzają końskie kopyta, a ich ślady nie przypominały śladów stóp, lecz ślady kopyt. Przez kilka dni w obozie huczało od wystrzałów z rosyjskich pistoletów. Więźniowie często próbowali się wyrwać z rąk oprawców. Niektórym udawało się uciec od katyńskich siepaczy, ale szybko byli wynajdywani przez strażników i zabijani na miejscu. Brutalnie. Bez procesu. Bez sądu. Bez prawa do obrony.

Zaprzestano rozstrzeliwania dopiero po tym, gdy jeden z więźniów odgryzł oprawcy palec. Sowieci w obawie przed buntem zmienili metody postępowania. Zebrali pozostałych przy życiu więźniów, wybrali spośród nich mechaników: kaprała Drozdowicza, który do pomocy przybrał Stefana Bartysiaka oraz poruczników Barę i Oczaka, i kazali złożyć z dwóch zepsutych ciężarówek jedną sprawną. Po wykonaniu zadania dostali oni polecenie zbierania ciał zabitych i wywożenia ich na tzw. Białe pole: odcinek lasu oddalony o kilka kilometrów od obozu, gdzie mieli je zakopać w masowych grobach. Stefan Bartysiak w swoich zeznaniach wspomina, że podczas pracy byli tak głodni, iż wycinali mięso z martwych ciał, piekli na ognisku i jedli. Razem z nimi to mięso jedli też ich konwojenci. Podczas jednego z kursów ze zwłokami, w dniu 3 marca 1940 roku, ich ciężarówka ugrzęzła w błocie, po czym całkowicie się zepsuła. Dwóch konwojentów poszło po pomoc do obozu, a z czterema więźniami zostało tylko dwóch strażników. Drużyna Bartysiaka nie zmarnowała tej okazji: obezwładnili i udusili dwóch strażników, zabrali ich dwa plecaki i zbiegli. Uciekali przez kilkanaście dni, aż w końcu dotarli do Bugu i przeprawili się na drugi brzeg. W końcu, skradzioną chłopu na polu furmanką, pojechali do wsi Bychawa, gdzie Bartysiak, Drozdowicz, Bara i Oczak postanowili się rozdzielić. Gdy Stefan Bartysiak doszedł do swojego domu we wsi Kowel na Lubelszczyźnie, prawie nie wyglądał już jak człowiek. Ważył tylko 42 kg, ze stóp schodziły mu paznokcie, a spod skóry wychodziły wszy.

Zeznania Stefana Bartysiaka dużo wniosły do sprawy katyńskiej. Według niego rozstrzeliwania zaczęły się już w Święta Bożego Narodzenia w 1939 roku. Możliwe więc, że w wyniku tej zorganizowanej akcji zginęło więcej polskich żołnierzy niż wcześniej było wiadomo. Przemawia za tym też fakt, że Sowieci zawczasu tuszowali tę sprawę używając końskich kopyt na butach żołnierzy dla zatarcia śladów.

Teraz przedstawię historię Stanisława Swianiewicza – patrioty, żołnierza i naukowca, który również był jeńcem w obozie w Kozielsku. Jego historię możemy poznać dzięki temu, że miał szczęście i wycofano go z transportu śmierci.

Gdy Stanisław Swianiewicz został pojmany w 1939 roku miał 40 lat i był weteranem wojny polsko-bolszewickiej. Był także profesorem nadzwyczajnym wileńskiego Uniwersytetu im. Stefana Batorego, specjalistą od spraw wschodnich, prawnikiem i ekonomistą. Po ataku Niemiec na Polskę w dniu 1 września 1939 roku, wrócił do wojska by bronić Ojczyzny, lecz

jego oddział wciąż cofał się pod naporem nieprzyjaciela. W trakcie odwrotu dostał się w ręce czerwonoarmistów i został wywieziony pociągiem do obozu w Putywlu, z którego przyjechał do obozu w Kozielsku.

W dniu 3 kwietnia 1940 roku, a więc w dniu ucieczki Stefana Bartysiaka, na szeroką skalę rozpoczęły się rozstrzeliwania polskich jeńców w obozach w Kozielsku, Ostaszkowie i Starobielsku. W ciągu zaledwie sześciu tygodni życie straciło aż 14 587 więźniów. Wymordowano też około 7 300 Polaków w więzieniach wschodnich województw Rzeczypospolitej. Profesor Swianiewicz tak później opowiadał zdarzenia, w których wówczas uczestniczył: „Plac był gęsto obstawiony kordonem wojsk NKWD z bagnetem na broni. Była to nowość w stosunku do naszego dotychczasowego doświadczenia. Nawet na froncie, bezpośrednio po wzięciu nas do niewoli, eskorta nie nakładała bagnatów na broń. (...) Z drogi wjechał na plac zwykły pasażerski autobus, raczej małych rozmiarów w porównaniu do tych autobusów, do których jesteśmy przyzwyczajeni w miastach zachodnich. Okna były zasmarowane. Pojemność autobusu była około 30 osób, wejście dla pasażerów od tyłu. Powstawało pytanie, jaki był cel zasmarowania okien tego niedużego autobusu. Autobus podjechał tyłem do sąsiedniego wagonu, tak, że jeńcy mogli wchodzić bezpośrednio ze stopni wagonu, nie stąpając na ziemię. Z obydwu stron stali żołnierze wojsk NKWD z bagnetem na broni. Był to dodatek do gęstego kordonu otaczającego plac. Po półgodzinie autobus wracał, aby zabrać następną partię”. Jak się później okazało ci, których zabierał autobus, ginęli niedaleko w lesie i chowani byli w bezimiennych, masowych grobach, które dla zatarcia śladów zalewano wapnem. Towarzysz profesora Swianiewicza, doktor Tadeusz Tucholski, nie miał tyle szczęścia, został rozstrzelany jak wielu innych.

Razem z profesorem Swianiewiczem, ze wszystkich obozów, ocalało tylko 395 osób, które przeniesiono do obozu w Pawliszczew Borze, skąd skierowano ich do Griazowca. Tam w sierpniu 1941 roku zostali uwolnieni. „Przyczyn, dla których ich nie rozstrzelano było kilka: interwencje międzynarodowe, zwłaszcza ambasady niemieckiej (np. Józef Czapski), uznanie jeńca za źródło ważnych informacji (np. skierowany bezpośrednio do Moskwy Stanisław Swianiewicz), podatność na indoktrynację komunistyczną czy uznanie danej osoby za nadającą się do wykorzystania dla celów sowieckiej polityki” – czytamy w książce „Zagłada polskich elit. Katyń – Akcja AB”. Przypadek profesora Swianiewicza był jednak wyjątkiem: został on

„wycofany z etapu” – co znaczy, że ktoś musiał w jego sprawie wydać konkretny rozkaz. Nie bez znaczenia był fakt, że profesor był autorem prac o sowieckiej gospodarce. Jak pisze Jacek E. Wilczur, autor publikacji „Oficerowie-Żydzi w dołach katyńskich”, Stanisława Swianiewicza wyłączono z akcji rozstrzeliwań na polecenie zastępcy naczelnika I Wydziału Specjalnego NKWD – niejakiego Giercowskiego, bowiem był Sowietom „potrzebny do śledztwa prowadzonego przez NKWD”. Po dniu 30 kwietnia 1940 roku Stanisław Swianiewicz przebywał najpierw w więzieniu NKWD w Smoleńsku, po tygodniu przetransportowano go na moskiewską Łubiankę, następnie na tamtejsze Butyrki. Wkrótce naukowiec skazano na 8 lat łagru, które miał spędzić w sowieckiej Republice Komi, lecz zwolniono go po zaledwie dwóch latach, dzięki naciskom ze strony polskiego ambasadora w Związku Radzieckim – Stanisława Kota. W maju 1942 roku profesor Swianiewicz przybył do Kujbyszewa, gdzie formowała się armia gen. Władysława Andersa. Profesor był już człowiekiem wolnym, ale do wolnej ojczyzny dane mu było wrócić dopiero w 1990 roku. Ostatnich dni doczekał jednak na emigracji, gdzie zamieszkał po wojnie. O jego życiu opowiada nakręcony w 2005 roku film dokumentalny „Ostatni świadek” w reżyserii Pawła Woldana.

Relacja profesora Stanisława Swianiewicza rzuciła nowe światło na zbrodnię popełnioną na polskich oficerach. Sowietci więźniów na rzeź transportowali autobusami, w partiach po 30 osób, z zasmarowanymi szybami, prosto z pociągu. Ci żołnierze nie mogli wiedzieć, gdzie się znajdowali, kiedy umierali jeden po drugim. Daleko od Ojczyzny. W Katyńskim Lesie.

Ujawnienie całej prawdy im się po prostu należy.

Artur Piękaacz

Bibliografia

<https://dzieje.pl/artykulyhistoryczne/stanislaw-swianiewicz-ocalony-z-katynia>

<https://www.youtube.com/watch?v=09tBeL-DtfM>

<https://www.youtube.com/watch?v=dnxxp5aCqTY0>